

Zientara, Benedykt

Jeszcze kilka słów o historii, matematyce i statystyce

Przegląd Historyczny 63/1, 139-140

1972

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

ne" empirycznie (tzn. na drodze empirycznego badania) powiązania czy konsekwencje; wówczas nastąpi właściwe zastosowanie matematyki do historii. Lecz czy tylko teorii mnogości i przede wszystkim właśnie teorii mnogości? Ta sprawa jest otwarta.

Uczmy się jednak matematyki, zapoznawajmy z teorią mnogości, wyjdzie to historii jedynie na zdrowie; nie szukajmy jednak w tym zasadniczego programu przebudowy naszej nauki, która ma do rozwiązania wiele bardziej podstawowych trudności. Uwaga nasza nie dotyczy oczywiście metodologii historii lecz jedynie historii. Postulaty w obu dziedzinach mogą się bowiem nie pokrywać.

Jerzy Topolski

JESZCZE KILKA SŁÓW O HISTORII, MATEMATYCE I STATYSTYCE

Mimo iż nie władam jeszcze matematyczną metodą wyrażania sądów na tematy historyczne, postaram się sformułować swe uwagi możliwie zwięźle. Czuję się zmuszony do zrekapitulowania mych poglądów wskutek bardzo rozmaitego zrozumienia też artykułu publicystycznego w „Kulturze”, który stanowił podniecie m. in. dla inaukurującego niniejszą dyskusję artykułu Stanisława Piekarczyka. Niektórzy odczytali mój artykuł jako ... atak na statystykę historyczną, inni — jako wystąpienie przeciwko poszukiwaniu nowych metod badawczych w historii; nawet niektórzy badacze historii politycznej poczuli się urażeni¹. Jest to niewątpliwie raczej wynik mało precyzyjnego sformułowania tez w artykule, niż zbyt pobieżnej jego lektury przez oponentów.

Stanisław Piekarczyk odczytał jednak tezy właściwie i słusznie ustawił się w pozycji przeciwnika. Tylko że moja pozycja jest tu dość elastyczna. Nazwałem się „konserwatystą” — co chętnie podchwycili dyskutanci, strojąc mnie w staroświecką tużurek. Ale na czym polega mój konserwatyzm? Na ochronie wartości, wniesionych przez starszą historiografię: do najdonioślejszych zaliczam tu komunikatywność. Uważam, że badania historyczne nie mogą być oderwane od zainteresowań i potrzeb społeczeństwa. Uważam też, że przy doborze nowych metod, wzbogacających narzędzia badawcze historyka, należy się kierować nie tyle modą, nawet najświeższą paryską, ile rzeczywistą przydatnością metody dla głębszego i szerszego poznania przeszłości.

W pełni się zgadzam ze Stanisławem Piekarczykiem, gdy domaga się uściślenia języka, jakim posługują się historycy. Ale uściślenie języka nie może oznaczać symplifikacji złożonych problemów, o jakich przychodzi pisać historykowi. Wspominałem w mym artykule okres, kiedy historia stanowiła gałąź literatury. Po tym okresie, poza książkami, do których chętnie wracamy, pozostało jednak także bardziej problematyczne dziedzictwo: przyzwyczajenie do częstego operowania przenośniami i nieprecyzyjna terminologia. Wszyscy wiemy, jakie trudności i ile zamieszania sprawia manipulowanie przez różnych historyków terminami takimi jak feudalizm, kryzys, renesans, imperializm, proletariats, demokracja, naród, model itp. Niektóre z tych terminów wywodzą się od konkretnych faktów, które zostały dla analogii transponowane na inne epoki i inne sytuacje; inne — z poetyckich przenośni, które z czasem uzyskały prawo obywatelstwa, awansując do roli terminów naukowych, jeszcze inne — przyszły z nauk pokrewnych, zmieniając po drodze znaczenie. Sądzę,

¹ Jeden z moich kolegów twierdzi nawet, że „B. Zientara ... wypowiedział się przeciw drukowaniu w Polsce prac naukowych w językach obcych” (A. Mączak, *Konfrontując wiek szesnasty*, KH, LXXVII, s. 1971, s. 878). W tekście mojego artykułu nazwałem jednak tylko „groźnymi w konsekwencjach” pomysły, aby poważniejsze prace naukowe publikować wyjącznie w obcych językach („Kultura” 1970, nr 45/387).

że jeżeli dyskusje między historykami mają doprowadzić do jakichś twórczych rezultatów, to trzeba dążyć przede wszystkim do uzgodnienia pojęć: zbyt często bowiem zdarzają się puste dyskusje, w których uczestnicy spierają się o jakiś termin, rozumiejąc pod nim całkiem różne pojęcia. Czy pomoże tu cokolwiek ujęcie zdań twierdzących na temat przeszłości w formy zapisu matematycznego? W dalszym ciągu wątplię. Do takich ujęć nadają się głównie truizmy i zdania o faktach jednostkowych. Spór polega nie na tym, czy da się przedstawić rzeczywistość historyczną w języku matematyki, ale na tym, czy taki sposób zapisu pogłębi naszą wiedzę o przeszłości. Dotychczasowe próby nie umożliwiają pozytywnej odpowiedzi na to pytanie. Są to mniej lub bardziej udane próby przekładu na język matematyczny pewnych odpowiednio uproszczonych twierdzeń, które przez to nie nabywają bynajmniej większej pewności. Ponieważ na kształtowanie się zjawisk historycznych oddziałują niezmiernie liczne czynniki, z których tylko pewne da się ująć we wzór, zapis będzie zawsze nieadekwatny do rzeczywistości.

Pozostaje wreszcie możliwość kontroli twierdzeń historyków przy pomocy analizy logiczno-matematycznej. Postulat ten jest aktualny, jako że poprawność rozumowania w wielu pracach historycznych przedstawia niemało do życzenia. Ale najczęściej powtarzającym się grzechem jest niewspółmierność przesłanek z rezultatem wniosku lub uznawania za argument tezy, która dopiero powinna zostać udowodniona. Nie będzie przesadą pogląd, że są to grzechy do usunięcia przy zastosowaniu tradycyjnej logiki arystotelesowskiej.

Przy tej okazji parę słów o metodach kwantytatywnych w historii: od razu zaznaczam jednak, że jest to zupełnie inny problem. Metody te wzbogaciły niewątpliwie naszą wiedzę o przeszłości, choć nie zawsze były stosowane w poprawny sposób. Mam tu na myśli przede wszystkim krytykę źródłową statystyki historycznej, która wciąż jest słabym ogniwem ciągu rozumowania, zmierzającego do liczbowego ujęcia różnych zjawisk przeszłości. Historycy, upajający się pozorną ścisłością metod statystycznych, zapominają czasem zapytać, jak dalece i w jakim kierunku liczby, na których dokonują skomplikowanych operacji, są odchyłone od rzeczywistości. Jeżeli czynią tak ci, którzy krytyczny stosunek do źródeł powinni być mieć we krwi, to trudniej się dziwić statystykom, demografom i ekonomistom, stosującym metody współczesnej statystyki do materiału historycznego bez dokładnego rozeznania, w jaki sposób i w jakich warunkach ogólnospołecznych i lokalnych powstawał ten materiał. Statystyka wojów z czasów Chrobrego, oparta na liczbach, wymienionych przez Galla, używana nawet jako podstawa do oszacowania zaludnienia Polski, jest bardzo problematyczna — z tym zgodzą się chyba wszyscy. Ale trzeba pamiętać także o krytyce źródłowej danych współczesnych nam spisów rolnych: każdy wieśniak poinformuje statystyka — ale czysto prywatnie — w jakim kierunku będzie odchylenie od rzeczywistości. Dane o zmniejszeniu się alkoholizmu, oparte na statystyce monopolu spirytusowego, warto zestawić z — trudniejszą do ustalenia — statystyką bimbrowni, gdyż bez uwzględnienia tego czynnika obraz może wypaść fałszywie. Irena Gieysztorowa ukazała na jaskrawych przykładach, do jakich wypaczeń rzeczywistości historycznej prowadzi brak wnikliwej krytyki źródłowej danych metrykalnych w badaniach demograficznych².

A więc nie tylko dla odległych epok stosować należy krytykę źródłową danych liczbowych. Pozorna ścisłość oficjalnych statystyk często niestety osłabia świadomość konieczności przeprowadzenia takiej krytyki. Jest to ważne dla historyków, ale przecież nie tylko.

Benedykt Zientara

² I. Gieysztorowa, *Niebezpieczeństwa metodyczne polskich badań metrykalnych XVII—XVIII wieku*, KHKM XIX, 1971, s. 558—602, zwi. 570.